№ 51. Warszawa, dnia 7 (19) Grudnia 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

OD REDAKCYI.

W przyszłym roku **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak Tygodnika Mód jak i Przyjaciela Dzieci, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora Kłopotów starego Komendanta, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 10, w ciągu roku wydanych zostanie 12. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

WIECZÓR WIGILIJNY.

Dlaczego dzień ten taki nam drogi, dlaczego wspomnienia jego świecą nam jaśniej po nad inne chwile życia?

Wszak nie starożytność pamiątki obchodu jego jest tego przyczyną. Zapomnieliśmy prawie, że jeszcze pogańscy praojcowie nasi obchodzili go uroczyście obrządkiem swoim na całej szerokiej Słowiańszczyźnie, bo od wielu wieków połączona znów z dniem tym pamiątka chrześciańska, po nad inne wyróżniała go święta. Lecz choć w innych krajach jest on także wigilią uroczystości religijnej, przechodzi jak każdy dzień zwyczajny.

W kilku tylko prowincyach niemieckich, w dniu tym, przy zielonem drzewku obdarzają dziatwę domową.

Więc nie tradycye historyczne i nietylko uroczystość religijna czynią nam dzień ten tak drogim.

Nie, my w dniu tym przypominamy sobie przedewszystkiem złote chwile dzieciństwa naszego; przypominamy ukochane twarze, serdeczne słowa usłyszane wtedy, szczere, gorące życzenia... niedomówione czasem, ale dojrzane w łzie tajonej, w długim, niemym uścisku, w drżącej dłoni, złożonej na pochylonem czole.

Przypominamy sobie ten drogi, jasny, pełen blasków, zieleni i ciepła wieczór rodzinny i to wszystko czem ożywione wtedy serce nasze żyło, co gorąca głowa roiła, czem pełna wiary pierś wzrała.

I pytamy siebie, czy wszystkie, czy wiele z tych pragnień, życzeń, wiar, nadziei... żyje do dziś, lub, stało się czynem...

Więc wieczór ten przedewszystkiem, ma dla nas wspomnienie, jako drogie *święto rodzinne.*

— A wspomnienia te sięgają najrańszych lat dzieciństwa naszego i są pierwszemi, silniejszemi wrażeniami, jakie się ryją na duszy dziecięcej. Szereg następujących lat młodzieńczych, tej najwrażliwszej epoki życia naszego, wiąże się dalej z niemi, a wszak „Młodość to rzeźbiarka" mówi poeta; wszak jedynie lata młodości wspomina, jasno zstępujący do mogiły starzec; wszak młodość-

to, ta życia gleba, na której bujnie się rozrasta każde rzucone w nią ziarno, a czem ono zejdzie, tem zasili organizm, tem go napoi i takie już piętno pozostawi na nim na resztę żywota.

Poważnego więc znaczenia, jakie ma dla rodzin naszych ten wieczór wigilijny, tracić nie powinien nigdy. Wspomnienia jakie młodość w nim wyrzeźbi, niech będą piękne, szlachetne i podniosłe.

Może dla niejednego, zostaną one jedyną jasną chwilą przeszłości... Dalekiemu, przypomną rodzinną strzechę; sierocie, pochowanych; upadającemu, ciepłe braterskie dłonie; wątpiącemu, nadzieję; a gdy wspomnienia wieczoru tego dają dziecku pierwsze wrażenia; młodzieńcowi, szlachetne uczucie; znękanemu pracownikowi, ukrzepienia chwilę; a starcowi, echo pamiątek świętych, niechże będzie wieczór ten jak najdłużej związany z życiem naszem rodzinnem i z tradycyą o nim przeszłości naszej.

Bo piękne u nas były te wieczory wigilijne.

Obok białych głów starców, jasne dzieci kędziory, śmiało wzniesione młodzieńców spojrzenia, pokrajane już bruzdami czoła starszej braci, kołyska, mogiła, bujne kwiaty i zwarzone zawieruchą losu liście, wszyscy razem u wspólnego stołu, łamią się poświęconym opłatkiem, łamią dobrem słowem, dobrą nadzieją.

Woń świeżej jedliny napełnia aromatem leśnym komnaty, płonący wosk miesza do niego słodki zapach kwitnącej lipy; rozkoszne ciepło ogarnia członki, gorej ą światła, błyszczą zabawki, słychać wokoło wesołe wykrzykniki, chór dziecięcych głosików i ich niepohamowanego śmiechu góruje po nad wszystkiem. Tęskny uśmiech niknie ze zmęczonej twarzy, błyszczą oczy, wyciągają się ramiona do gorącego uśmiechu, cichy szept jest nieraz świętem zaklęciem. Gwarzą młodzi o przyszłości, starzy wspominają przeszłość, czasem list nadesłany z dalekiej krainy wyrwie głębokie westchnienia, popłyną łzy ciche, zabrzmi pieśń stara.

Magiczny, święty wyraz *rodzina*, nabiera wieczoru tego całą siłę, urok, potęgę. Siłą *miłości* połączeni, pod wpływem jej czaru, samotni, czują się mniej smutni a szczęśliwi goręcej szczęścia drugich pragną; znękani, zgorzkniali i słabi, czują się silniejsi a źli, zepsuci, zdziwieni i zawstydzeni w sobie.

Takie bywały i takie są jeszcze wigilijne wieczory nasze i że takiemi pozostaną długo, niewątpimy; piękniejszemi być mogą nawet... Bo póki są szczęśliwe matki i siostry, póty będą szukać tych smutnych, co dziatek własnych i sióstr rodzonych nie mają, a ojcowie ich i bracia przyprowadzą im do wigilijnego stołu zapracowanych biedaków bezdomnych. Synowie przywiodą znękanych pracowników; małe sierotki posadzą obok dziatek swoich i do wszystkich wyciągną dłonie i ramiona z uściskiem serdecznym, ze wszystkiemi podzielą się gorącem słowem miłości.

Takiego wieczoru nie zapomną ich dzieci. Szczęśliwe i kochane, pamiętać będą, że miłością i one drugich darzyć winny i pamiętać jeszcze będą o tem, że w domu rodzicielskim widziały, iż po za rodziną własną jest jeszcze rodzina druga, z którą wiążą ją ogniwa wspólnych obowiązków świętych — ludzkość.

E. B.

DZIWNA LEGENDA.

(Z podań greckiego archipelagu.)

Na jednej z wysp greckich istnieje podanie,
Że w noc noworoczną, od zmroku,
Królowa stu wróżek, na złotym rydwanie,
Objeżdża dokoła, co roku,
Miasteczka i sioła i pola i chaty,
Stem darów obdziela świat chojnie.
Czy biedny kto, łazarz, kaleka, bogaty —
Czegobądź zapragnie: zaszczytów czy złota,
Rycerskich tarcz blasku — potęgi —
Czy kogo nikczemność przywabia, czy cnota —
Rojenia miłości, lub księgi,
Zkąd wiedzę wszelaką bez trudu wziąć można —
Pól plony — zwycięztwa — uroda, wdzięk lica —
Ot, słowem: chęć prawa czy zdrożna,
Wnet wróżka ochotnie to spełnia przez czary,
Lecz przytem sen spuszcza na ludzi.
W nim każdy ma prawo obejrzéć swe dary,
I użyć ich we śnie, zanim się obudzi.
Użyje ich dobrze? Ah, wtedy, łaskawsze
Co rok zacnej wróżki, uznanie zaskarbi —
Gdy źle — straci je na zawsze.

* * *

Raz jednak, lud z Hios wystąpił gromadnie,
Przez Turków podniecon jak morze;
„Po co nam te próby, gdy można mieć snadnie,
„Co chcemy, co wróżka dać może,
„Byleby zażądać upornie!...

Gdy z fali
Wynurzył się rydwan, wraz Hios wybrzeże,
Tłum obległ i wróżki nie puszcza już dalej.

— Czegóż to pragniecie? spytała dokoła:
„Rozkoszy i uciech bez wiary!"
— My chcemy świecidel! — rój niewiast zawoła,
— Dla Venus Pandemos ofiary!

— Nam zbrzydły już dawne: poczciwość i cnota
— I praca... ktoż o niej dziś marzy?
— Więc wróżko, zausznic daj, kwiatów i złota,
— Piór cennych — barwników dla twarzy!

I męże znów tłumnie: „Cną przeszłość zniszcz naszą,
„Bo głupią i śmieszną nam zda się;
„Jej widmem daremnie Osmany się straszą,
„Te mrzonki dziś nie są na czasie!

„Nam Turczyn na barki dał jarzmo ohydne,
„I hańbę wypisał na czole...
„Zapomnieć ją pozwól — niech szały bezwstydne
„Zagłuszą cierpienia — niedolę.

„Nam Klefty wróżyły, że Grecyę znów drugą,
„Znajdziemy po śmierci, tam, w niebie...
„Tymczasem niech wino wylewa się strugą,
„I smutki w swych falach pogrzebie.

„Tymczasem, o Allah, przed tobą my czołem
„Bijemy, sprzedając się z duszą;
„Cna wróżko, bądź dla nas upojeń aniołem,
„Niech orgie ból żrący zagłuszą!

. . . .

I wróżka struchlała. Ah, co za sromota!
Lecz z brzegu, ryk tłumów, jak burzy:
„Nam igrzysk potrzeba, rozkoszy i złota,
„Choćby go zaczerpnąć w kałuży!"

Skinęła więc różczką...
Wraz stają śród miasta:
Bahantki i cyrków bufony;
W Heterę się zmienia cna dotąd niewiasta,
Na bazar dziewice i żony

Pobiegły — a męże, u świątyń przedsienia,
Czcią córek, sióstr kupczą... czcią własną;
I całe się Hios w hurysek kraj zmienia,
Gdzie ognie rozpusty nie gasną!

I słychać dokoła hymn pochwał dla wroga,
Półksiężyc z buńczuka się złoci;
Na Hios już nie ma czci, wiary, ni Boga —
A tylko pijani Iloci,

Z kajdanem na ręku, zawodzą wciąż taniec,
I łańcuch rąk Greka nie nuży;
A wyją Hetery i klaszcze pohaniec
Szczęśliwy, że Hios w kałuży!

* * *

Tak minął rok cały; nad falą tam świta
Jutrzenka nowego śród nieba;
Z nią wróżka powraca i ludu znów pyta:
Czy innych mu darów nie trzeba?

Eh, poco? wszak mają igrzyska, miliony
Łask wroga — chleb czarny w czół pocie —
I barwnie odziane bahantki za żony,
Szczęśliwi, że toną w sromocie.

I długie tak lata pytała... żal Boże!
Śród Hios wspomnienia wymarły;
Lud odzian odświętnie, w turecką obrożę,
Z łon matek wciąż rodzą się karły.

. . . .

Aż biedna, ze smutku, że z dawnych rycerzy
Powstały zaprzańce — kaleki —
Wraz ze swym rydwanem, u Hios wybrzeży,
Zniknęła w głębinach na wieki.

Zygmunt Grabowski.

CHOINKA

PRZEZ

PIOTRA VEROU.

PRZEKŁAD

Gabryeli H.

I.

— Baczność! zacznie się ciągnienie fantów.

Słowa te wyrzekł gospodarz domu, zwracając się do mnóstwa dziatek, zgromadzonych u niego, na uczczenie Gwiazdki.

Choinka, zdobna w różnobarwne papiery i obcią-

żona wszelkiego rodzaju zabawkami i łakociami, stała na środku pokoju.

Na to wezwanie, młodzież okrążyła drzewo Tantala. Oczy rozwarte szeroko, spoglądały z upragnieniem i z zachwytem na te piękne cacka, ręce klaskały radośnie, nóżki tupały z niecierpliwości, a zazdrości nie było tu i śladu. Przeciwnie, za każdym wygranym fantem, wznosił się okrzyk zapału dla wybrańca losu.

Rodzice zaś, wśród których zająłem miejsce, poili się radością swych dzieci; nie będąc jednak osobiście w sprawie tej interesowanym, w błogiej bezczynności oparłem się w fotelu, ziewnąłem raz i drugi... i...

II.

— Czy chcesz pan — spytał mnie jakiś nieznany mi człowiek — przyjrzeć się odrębnemu zupełnie rozdawaniu podarków?

— Gdzież to? — zapytałem.

— Nie pożałujesz, pan, trudu ztąd poniesionego.

— Ależ, nie mam przyjemności znać...

— To nic nie znaczy. Chodź za mną.

Mówiąc to, pociągnął mnie za sobą. Wkrótce stanęliśmy na olbrzymim placu, gdzie roiły się tłumy ludzi.

Na środku wznosiła się wspaniała choina, ogromnych rozmiarów; potężne jej gałęzie gięły się pod ciężarem dziwnych bardzo fantów.

Spostrzegłem ordery, klejnoty, weksle, worki z pieniędzmi, laurowe wieńce, dyplomy, artykuły z gazet, kontrakty ślubne i t. p.

Ci co otaczali drzewo, nie byli już dziećmi; byli tam ludzie różnego wieku, różnego stanowiska, przybyli z różnych stron świata.

— Zacznie się niedługo ciągnienie — rzekł mój nieznajomy. — Uważaj pan.

Sądziłem, że rozdawanie podarków nastąpi według zasługi, lub koleją losu. Inaczej się stało. Zawrzało w tłumie.

— To moje!

— Nie, to moje!

— To niesprawiedliwość!

— To oburzające! — wołały tysiące głosów.

Powstał ścisk okropny. Jedni popychali drugich; gnietli się wzajemnie; wszyscy chcieli być pierwszymi. Silniejsi zwyciężyli słabych, słabsi podstępem stawali silniejszym na drodze.

— Zdajesz się pan dziwić temu wszystkiemu?— zapytał mój przewodnik. — A to dopiero wstęp.

Spostrzegłem też natychmiast zapał, z jakim każdy się garnął do tych, którym powierzony był podział fantów.

— Wystaraj się pan łaskawie — mówił ktoś — abym uzyskał miejsce, którego od tak dawna pragnę. Jeden z moich kuzynów, był serdecznym przyjacielem teścia chrzestnego ojca pańskiego, są to święte więzy!

— Uprzejmie pana proszę — szeptał drugi — o zachowanie dla mnie tego miejsca, a będziesz mógł wtedy liczyć na moją wdzięczność i moje przywiązanie.

— Wiesz pan — wołał trzeci — że mam silną protekcyą. Jeśli mnie sowicie obdarzysz... rozumiesz mnie?

— Dajcie mi posag — wzdychał jakiś młodzian. — Jestem szlachetnie urodzonym, ale pieniędzy już nie mam. Lubię życie wesołe, a praca by mnie poniżyła. Mieszczański posag ozłociłby mój herb. Tam, na tej gałęzi, spostrzegam właśnie to czego pragnę. I któżby się odważył odmówić takiej rzeczy potomkowi średniowiecznych rycerzy?

— Ja, proszę tylko o maleńką wstęgę; niech będzie zielona, czerwona, żółta; bylebym mógł co u mojej piersi zawiesić.

— Pieniędzy! pieniędzy!... tylko pieniędzy!

— Sławy, sławy! dla mnie, wielkiego poety, ten wieniec laurowy!

Poczęto rozdawać fanty.

Wyciągnięto numer, którego posiadacz miał uzyskać sto tysięcy franków rocznego dochodu.

— To dla mnie!

— Nie, to nie dla ciebie!

— Ani dla ciebie!

— Przekonamy się!

I walka rozpoczęła się na dobre, aż jedna z najsilniejszych dłoni zdobyła zwycięztwo.

Natychmiast i jakby cudem, rywale przed chwilą stali się najpokorniejszymi pochlebcami.

— Nie zapomnij, że całą moją siłą przyczyniłem się do zdobycia fantu przez pana.

— Pragnąłem go otrzymać, chcąc go panu ofiarować.

— Racz pan o mnie pomyśléć, rozpoczynając jaki interes.

— Życzyłbym sobie gorąco miéć udział w pańskim domu handlowym.

Zdobywca odchodził, uśmiechnięty szyderczo.

Drugim fantem, był wieniec laurowy, dla literatów.

— Zróbcie mi miejsce — wołał jeden — widzicie przecież, że mnie chcą uwieńczyć.

— Na bok, bazgracze!

— Mnie jednemu, który wskrzesił literaturę, należy się ta nagroda!

— Tobie, którego dzieła są jedną kradzieżą?

— Usuńcie się, gryzipióra!

A gdy najsprytniejszy z nich, korzystając z kłótni pochwycił wieniec, przeciwnicy z przed chwili, zleli swe uczucia w jedną nienawiść.

Przy każdym nowym fancie, chciwość i pycha walczyły z sobą.

Krzyk i wrzawa wzrastały co chwila; bój trwał zaciekle, a choinka poszarpana, zniszczona i ogołocona smutny przedstawiała widok.

Ludzie czepiali się jej gałęzi, wdrapywali się na pień.

— I cóż mówisz na to godło życia? — spytał mnie mój przewodnik.

III.

Chciałem odpowiedziéć, gdy naraz ręka jakaś oparła się na mojem ramieniu.

— A to co? Jakże można spać podczas Gwiazdki?

Ocknąłem się, przetarłem oczy i spojrzałem dokoła.

Dziecinna loterya trwała jeszcze; wszystkie czoła jaśniały radością, a podarunki krążyły oglądane i chwalone z ręki do ręki.

— Jednak sen nie kłamie? — pomyślałem. — Dzieci więcej są warte niż ludzie.

PRZEZ CIERNIE I GŁOGI.

OPOWIEDZIAŁ

Z. Grabowski.

(Dalszy ciąg.)

Nagle powstał i biorąc obie moje ręce w swe dłonie, rzekł błagalnie:

— Panie Zygmuncie, poświęć nam kilka miesięcy czasu, zajmij się poszukiwaniami! Chodzi tu o moje jedyne dziecko, które straciwszy, czuję żebym już stracił wszystko na ziemi. No powiedz, wyświadczysz nam to dobrodziejstwo? Postaram okazać ci naszą wdzięczność...

Przykro mi się zrobiło, że mi ofiarował już naprzód nagrodę. Wszakże dla sympatycznej twarzyczki jego córki a i dla ślicznej buzi mej rodaczki, owej Jadwini, byłbym ochotnie poszedł i na kraj świata.

— Robisz mi pan ujmę — rzekłem cokolwiek wzruszony — przypuszczając, żebym przyjąć miał wynagrodzenie; zrobiłeś już dla mnie i tak wiele, spełnię więc chętnie to czego pragniesz.

— Ah! jakże dobrym jesteś — zawołał bankier z radością — Prosiłbym cię jednak, panie Zygmuncie, abyś zwiedził: Londyn, Bruksellę Włochy, Niemcy i Austryą i radbym widziéć cię wdrodze choćby dziś jeszcze...

— Za tydzień spełnię pańskie życzenie — odrzekłem i ruszyłem przygotować się do wyjazdu na czas może bardzo długi.

* * *

Podróże moje trwały pięć miesięcy i naturalnie, daremnie.

Nigdzie i śladu Leona odnaleźć nie było podobna, żadnej nawet wskazówki, ani przypuszczenia, że mógł żyć jeszcze.

Pan de Coucy polecił mi nareszcie udać się do Serbii.

W Belgradzie, w hotelu „pod następcą tronu", siedząc raz na terasie i słuchając muzyki, zobaczyłem dwóch Francuzów. Rozmawiali dość głośno.

— Radbym — mówił jeden — miéć tylko tyle luidorów ile ten niegodziwiec zesłał ludzi do Cayenny.

— No tak, ale nie w ostatnich czasach—odparł jego towarzysz.

— Tak myślisz? A mój brat, Norton? Z nimi razem zesłano ze dwustu.

— Norton przecie był poddanym angielskim.

— Cóż z tego? Niby to prefektura pytała kiedy niechętnych o ich narodowość? Niebezpieczni spiskują, do Cayenny więc z buntownikami.

— Tegobym nie przypuścił nigdy. Przecież cudzoziemiec mógłby odwołać się do prawa narodów, udać pod opiekę swego konsula.

— Naiwnyś, mój kolego!—zawołał pierwszy.— Ty np. przypuść żeś Włochem lub Niemcem. Aresztowanego w nocy, pakują cię do Mazas i dają ci numer porządkowy. Nazajutrz naturalnie protestujesz, wymieniasz nazwisko, powołujesz się na twój pasport lub inne jakie papiery, zostawione w domu... ale nazajutrz i pasport i papiery znikają bez śladu z twego mieszkania. Dostajesz pierw-

sze lepsze nazwisko do ksiąg, numer na czapkę i... w objęcia żółtej febry, w kamieniste stepy Ameryki środkowej.

— Ależ to okropne!

— Tak, to okropne! A słyszałeś co o naszych szaleńcach, żyjących w Paryżu?

Słuchałem z natężoną uwagą.

— Cóż oni mają do tej sprawy?

— Bardzo wiele, bo rząd Napoleona niby to im przychylny ale zesłał ich sporo do kolonii.

Mój Boże! — pomyślałem — że też nie wpadłem odrazu w Paryżu jeszcze, na to przypuszczenie!

Powstałem i zapłaciwszy rachunek hotelowy, oświadczyłem, że następnego dnia o świcie udaję się parowcem z powrotem do Budapesztu. Byłem tak pewny swego, żem posłał natychmiast telegram p. de Courcy tej treści: „Jestem na tropie, wracam natychmiast do Paryża”.

Telegram taki, tchnie nowe życie w piersi biednej Heleny. Może rozczarowanie będzie potem straszniejsze, ale przynajmniej dni kilka przejdzie jak sen, sen złoty o lepszem jutrze.

Jechałem dniem i nocą tak, że czwartego dnia wieczorem byłem już w Paryżu.

Helena z matką, przebywały teraz na wyspach Balearskich; pan de Courcy był sam.

— I cóż — zapytał mnie natarczywie, niedozwalając nawet przebrać się, gdy wprost ze strasburskiego dworca, zajechałem na ulicę de Richelieu.

— Czy znasz pan kogo w prefekturze?

— Mam znajomego generalnego sekretarza, ale o cóż chodzi?

— Tem lepiej. Postaraj się, pan, sam przejrzeć listę aresztowanych tajemnie, za ostatnie ruchy i zesłanych bez sądu do Ameryki, do Cayenny.

— Ależ to niemożliwe? zkąd to dziwne przypuszczenie.

— Mam pewność prawie zupełną — odparłem spokojnie.

Zadzwonił i rzekł do wchodzącego lokaja:

— Powóz i konie, natychmiast!

W godzinę, wracał już z kartką jakąś w ręku. Był śmiertelnie blady, nie mógł wymówić ani słowa, podał mi ją więc tylko i upadł znękany na krzesło.

Była to notatka, wyciąg z ksiąg sznurowych archiwum policyi napoleońskiej.

„Wysłany został 15 Stycznia 1865 r. do Cayenny, a 19 Marca 1866 r. doniesiono, że utonął, ale ciała jego nie znaleziono.

— Biedna moja Lena! — jęknął nieszczęśliwy ojciec. — Leon stracony dla nas na zawsze.

— Przeciwnie — zawołałem — on żyje, tylko się ukrywa.

— Ależ to niepodobna... ruchomych piasków wybrzeża żaden prawie więzień nieprzebył dotąd jeszcze.

— Znałem ludzi niemających i połowy tyle inteligencyi i odwagi co Leon, a wyłamywali się z pontonów. Jeżeli Leon uciekał, to już musiał mieć zapewnione widoki ucieczki.

— Czy mam pisać o tem wszystkiem Helenie?

— Ja sądzę, że należy ją zawiadomić, ale w sposób odmienny trochę. Małe kłamstwo może ją ocalić, wlewając w duszę choć błysk nadziei. Donieś jej pan prawdę całą, lecz donieś, że go dopiero mają za utopionego i zawiadom, że będziemy ukrywającego się szukać po Ameryce.

— Po Ameryce?

— Ja pojadę i tam chętnie,

Pan de Courcy podał mi rękę z przyjaznem uczuciem.

— Ah, czem ja ci się wywdzięczę! — szepnął wzruszony.

III.

Do Ameryki nie pojechałem.

Losy zrządziły inaczej. Ostatnie trzy lata przed wojną spędziłem w Algierze, przeważnie w stepach Oranu i w nieustannych walkach z ciągle porywającemi za broń plemionami Telu.

Helena, żyjąc nadzieją zobaczenia jeszcze w życiu Leona, wracała powoli do zdrowia. Od niej i od p. de Courcy odbierałem co miesiąc listy, donoszące mi o wszystkiem.

Na moje miejsce, jeden z jego urzędników został wyprawiony za ocean, po roku jednak wrócił z tą tylko wiadomością, że podobnego człowieka, widziano w wojsku Juareza.

Matka i siostra jego żyły ciągle bez wieści, ale także z nadzieją lepszego jutra.

Ciernie i głogi posiane ręką losu na drodze tych biednych istot, truły mi życie.

Nieraz, na stepie, gdy śród nocy rozpalono ognisko, wolny od służby, wyjmowałem z za munduru nieopuszczającą mnie nigdy fotografię ślicznej Jadwini i wpatrywałem się w nią długo, za długo może dla mego spokoju.

Wtedy obraz tamtej, zacierał się coraz bardziej w mem sercu.

Tak mijały lata, zbliżyła się wiosna 1870 r.

Wracających nas z wyprawy na granicę południowego Maroko, oczekiwała w Sidi-bel-Abbés, jak wtedy sądziliśmy wszyscy, miła bardzo niespodzianka.

Izby i Senat francuzki, wypowiedziały Prusakom wojnę.

Zaledwie dozwolono nam jeden dzień wytchnienia w tym uroczym ogrodzie; pospiesznym marszem zdążaliśmy nad morze do Oranu.

Byłem już podówczas oficerem i jako naturalizowany, przyjęty w poczet armii w 2 pułku dragonów.

Nasz dowódzca polubił mnie bardzo i wyznaczył na swego przybocznego adjutanta.

W Oranie mieliśmy dopełnić braki w koniach i umundurowaniu.

Nazajutrz po naszem przybyciu, pułkownik mój wrócił do kwatery, cały promieniejący.

— Jestem generałem brygady! — zawołał, ściskając żonę i córkę, obecne w salonie.

Spostrzegł mnie teraz dopiero.

— I cóż ty na to, poruczniku?... Czy chcesz przejść ze mną do nowej dywizyi?

— Marzę tylko o tem, generale! — odparłem uszczęśliwiony.

— Więc dobrze, ale że jutro odpływamy, biegnij-że więc co prędzej do głównego sztabu i zawiadom o tem naczelnika. Powiedz mu, że proszę aby pominął wszelkie formalności, a przepisał cię wprost, jako tymczasowo oddzielonego od pułku, na służbę do generała brygady.

W sztabie załatwiłem sprawę bardzo szybko, że zaś w pośpiechu zapomniałem wręczyć adjutantowi mego stanu służby, wszedłem na dole w bramie pałacu, do sali warty, aby z papierem tym wysłać na górę którego z ludzi.

Owego dnia straż trzymała Legia cudzoziemska, ośmnastu ludzi z 3 batalionu, pod dowództwem podoficera.

Gdy wszedłem do nizkiej, zadymionej sali, któż opisze moje zdumienie, na widok oblicza powstającego i salutującego mnie szefa posterunku.

Był nim... Leon Różański.

W pierwszej chwili chciałem wprost przemówić doń rodzinną mową, zastanowiłem się jednak, że pomimo to wszystko co mi o nim opowiadano, nie znałem rzeczywiście tego człowieka.

Może on istotnie niegodzien był tylu sympatyi, jakiemi go otoczyć chciano.

Wszystko było do darowania ale... matka i siostra? Dlaczego je zaniedbywał i zatruwał tak umyślnie niemal ostatnie dni biednej kobiety?

Mierzyłem go spojrzeniem od stóp do głowy, a on mieszał się widocznie. Może podejrzywał, że twarz jego nie obcą mi była; może przypuszczał, że go widziałem jako więźnia... nie wiem, lecz płonił się i bladł na przemiany.

Na piersiach podoficera dojrzałem dwa ordery: krzyż Gwadalupy i medal wojskowy za waleczność.

No, nie musi być takim infamisem! pomyślałem głośno:

— Depuis quand au service?

— Depuis le 20 Juillet 1866 r.

— C'est bon! — zakończyłem.

Wyszedłem z sali warty.

W godzinę miałem już w rękach kartkę służbową Poleskiego, pod właściwem bowiem służył nazwiskiem, przesłaną mi z jego kompanii. Podoficer nie był nigdy karany, ordery otrzymał na placu boju.

Nie było czasu do stracenia.

Nie mogłem przecie przedstawić rodzinie de Courcy w ten sposób człowieka, nie wybadawszy, nie poznawszy go sam trochę.

Na liście kompanii przeznaczonych na parowiec przewozowy „l'Aurore”, na którym miał płynąć sztab 5-tej brygady, miasto 3-iej kampanii, 3-go batalionu, poleciłem zamieścić 6-tą, w której służył mój rodak, licząc, że tym sposobem, przez trzy dni przeprawy do Tulonu, będę miał czas przyjrzeć mu się bliżej.

Wieczorem, generał był w złotem usposobieniu; skorzystałem więc, aby mu opowiedzieć wszystko i przedstawiłem stan służby biedaka.

— Wiem do czego zmierzasz! — odparł dobrodusznie.

— Jakto, wiesz już, generale?

— Parbleu! Czyż to trudno! Ale weź pióro i pisz co ci podyktuję.

Pisałem z bijącem sercem i pisaninę moją podaję teraz w przekładzie:

„Telegram urzędowy.

„Naczelnik 5-tej brygady, do ministra wojny, w Paryżu.

„Podoficer 6-tej kompani, 3-go batalionu cudzoziemskiego pułku, Leon Poleski, ozdobiony krzyżem kawalerskim Gwadalupy i medalem wojskowym za waleczność, nieposiadający w swym stanie służby żadnych kar, nawet zwykłego dwudniowego przebywania w koszarach, jako człowiek inteligentny i szanowany w pułku, zasługuje na stopień oficerski.

„Proszę o telegraficzne upoważnienie do nominacyi, do Tulonu, gdzie przybędę z brygadą za dni cztery.

Generał brygady: de Martie.”

— No cóż? jesteś kontent ze mnie? — spytał poczciwosz klepiąc mnie po ramieniu.

Uścisnąłem tylko rękę mego naczelnika, słów na podziękowanie zabrakło mi na razie.

. . . .

Nazajutrz, o świcie, olbrzymia „l'Aurore” podejmowała kotwicę, za nią inne i przy grzmocie dział z fortów Oranu, opuszczaliśmy przystań i afrykańskie wybrzeże.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA DO PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. P.

(Dalszy ciąg.)

Była to więc nader ważna okoliczność, której bezkarnie nie należało pomijać. Czynność tę zlecono Ellisonowi, jako piszącemu pięknie i posiadającemu styl jasny i poprawny. Nieruchomość jednak konieczna przy spełnianiu tego zajęcia, była nader niebezpieczną, gdyż z łatwością można było przy niej uledz odmrożeniu całej twarzy, rąk lub nóg, skoro zamarzał atrament w kałamarzu i trzeba go było ogrzewać ciepłem własnego ciała.

Zajęty pracą Ellison, nie zwrócił początkowo uwagi na chwytające go kurcze, dopiero powstając z kamienia na którym siedział, uczuł gwałtowny ból w nogach; przezwyciężył się jednak i zaczął iść za innemi, ale wkrótce uczuł brak sił i nibyto popychając sanie oparł się o takowe całą siłą swego ciężaru. Mimo to bóle w nogach zwiększały się tak, że wkrótce niepodobna było zataić takowych, właśnie w chwili dostrzeżenia zatoki Blair, gdy Ellison potknąwszy się, z głuchym jękiem upadł na ziemię. Towarzysze jego początkowo sądzili, że zaszły wypadek był następstwem zwykłego w tych okolicach pośliźgnięcia się, skoro jednak pozostał nieruchomy na miejscu, podbiegli szybko ku niemu, aby pomódz mu do powstania. Na nieszczęście nogi jego z powodu przeziębienia uległy zupełnemu sparaliżowaniu, a boleści w nich zwiększały się z każdą chwilą. Mróz tak oddziałał na cały organizm Ellisona, że nie wiedział zupełnie gdzie się znajduje i pragnął tylko zostać na miejscu, bo wszelki ruch zwiększał cierpienie. Towarzysze jego spostrzegłszy, że nie może iść wraz z nimi, chcieli go położyć na sanie, ale stawił im zacięty opór nie pozwalając nawet zbliżyć się do siebie. Należało zatem użyć przemocy, ale połączone siły Bica i Fryderyka nie były wystarczające i Lockwood musiał przyjąć także udział w walce z nieszczęśliwym; dopiero wówczas zdołano go umieścić na saniach i przywiązać do takowych. Po spełnieniu tej czynności chciano rozpocząć dalszą podróż, ale biedakom brakło sił do ciągnięcia zbyt naładowanych sani żywnością i chorym towarzyszem, zwłaszcza, że różne zawady wypadało pomijać, a niekiedy po nad takowemi przenosić sanie wraz ze znajdującemi się na nich pakunkami. Wkrótce też przekonano się, że niepodobna było ciągnąć jednocześnie człowieka i żywność, i że należało zrobić wybór, czy poświęcić Ellisona, czy też wiezione zapasy, czyli roztrzygnąć nader drażliwe zapytanie, dotyczące stosunku jednostki do towarzystwa, mianowicie czy wolno poświęcić pierwszą dla powszechnego dobra? czy też wypada raczej narazić ogół, aby tylko w razie potrzeby otoczyć pojedyńczego człowieka należytą opieką.

Wieziona żywność była konieczną dla nieszczęsnych rozbitków, porzucenie jej mogło spowodować najsmutniejsze następstwa; z drugiej jednak strony, zostawiony na pustyni Ellison ginął bez ratunku. Kiedy tak myślą co postanowić, na twarzy chorego dostrzegano coraz bardziej złowróżbne zjawiska.

Oczy zdawały się być nieruchome, piana pokryła usta, nie mógł znieść najmniejszego dotknięcia i wkrótce nastąpiła gorączka połączona z maligną; Ellison po przedłużonych jękach nagle zamilkł jakby dla nabrania sił, a następnie wśród szalonego śmiechu zaczął śpiewać różne hymny narodowe, wydając od czasu do czasu oklaski uwielbienia. Wkrótce zaczął opowiadać dostrzegane przez siebie obrazy; zupełnie sprzeczne z otaczającemi przedmiotami. Wśród mrozu, śniegu i brył lodowych, dostrzegał kraj rodzinny, wspaniałe promienie ogrzewającego słońca, rozkoszne murawniki wypełnione kwiatami i owocowemi drzewami; słyszał nareszcie szczebiotanie różnobarwnego ptastwa i odgłos instrumentów muzycznych, na których pasterze strzegący stada domowego inwentarza odgrywali różnorodne pieśni. Dozwolić umrzeć wśród podobnych złudzeń, byłoby może dla chorego prawdziwem dobrodziejstwem; zostawienie go jednak bez opieki obrażałoby chrześciańską zasadę, nakazującą ratować towarzysza choćby z ofiarą własnego życia. Rozwiązując w ten sposób stawione zapytanie, Lockwood kazał zdjąć z sani wiezioną żywność i ukryć takową w ten sposób, aby z łatwością mogła być odszukaną.

Złożono ją więc u stóp skały, łatwej do rozpoznania, bo przypominającej zakrzywiony sierp olbrzymich rozmiarów. Prócz tego umieszczono w różnych kierunkach odpowiednie znaki, ułatwiające odszukanie, zapisując starannie liczbę kroków oddzielających je od złożonego skarbu. W trakcie tej pracy Ellison zmęczony wysileniem zasnął, spodziewano się, że czas jakiś spoczywać będzie spokojnie bez poruszenia, ale skoro tylko zaczęto ciągnąć sanie, przebudził się, czyniąc gwałtowne podskoki i złorzecząc towarzyszom za wyprowadzanie go z krainy szczęścia, niepodobnego do określenia. Wyobraźmy sobie położenie Lockwooda i jego towarzyszów: ze wszystkich stron pustynia, wśród której nie można dostrzedz ani jednej istoty żyjącej, przed niemi długa i mozolna podróż, po za niemi mały zapas żywności, której mimo wszelkich znaków nie zdołają może odszukać, a prócz tego zniewoleni są ciągnąć obłąkanego, dokładającego bezwiednie wszelkich starań, aby im utrudnić tę czynność. Nadto jeszcze wraz ze zmierzchem następowała zupełna ciemność, czarne chmury zalegały horyzont, a przez takowe nie mogły przecisnąć się słabe promyki gwiazd. Z konieczności zatem zatrzymano się na miejscu, skoro ze wszystkich stron groziły niebezpieczeństwa. Nareszcie po zwyciężeniu wielu trudności, powrócili do obozu Clay, gdzie oczekiwano na nich z wielką niecierpliwością.

Po danym znaku przez placówki, wszyscy wybiegli na ich spotkanie z oznakami największej radości. Znalezione zapasy, wedle ogólnego przekonania, zapewniały przy oszczędności utrzymanie aż do wiosny. Łatwo przeto zrozumieć następstwa rozczarowania, gdy zamiast spodziewanej żywności, zobaczono na saniach chorego Ellisona, którego wyraz twarzy zwiastował czekającą go śmierć w prędkim czasie. Wydawane okrzyki radości zastąpiły przekleństwa i złorzeczenia, bo głód jest złym doradzcą, zwłaszcza gdy znikła wszelka nadzieja uśmierzenia spowodowanych z tego względu cierpień. Znalazł się nawet najmniej spodziewany oskarżyciel, był nim Ellison, który złożony w obozie na przygotowanem dla niego łożu i okryty ciepło, odzyskawszy przytomność, pomimo doznawanej gorączki i obłąkania, przypomniał sobie wszystkie szczegóły podróży i wyrzucał Lockwoodowi wraz z innymi, spełniony względem niego czyn ludzkości. Stwierdził z zupełnem przekonaniem, że zabranie służących do pożywienia przedmiotów było rzeczą najzupełniej możliwą, że dowódzca wyprawy działał lekkomyślnie, bo powinien był przedewszystkiem myśleć o ocaleniu wszystkich. Odmienne postępowanie było tem bardziej naganne, wedle zdania Ellisona, że odszukanie składu żywności będzie niemożliwe i takowa straconą została raz na zawsze. Sama osnowa skargi wskazywała jasno, jak wielkiemu osłabieniu uległy umysłowe władze Ellisona. Dowodzenie to jednak, jako człowieka chorego, jakkolwiek bardzo podejrzane dla każdego człowieka uczciwego, skwapliwie jednak było podjęte przez Niemca Johna, snującego siatkę intryg w obozie. Dawał on do zrozumienia, że Lockwood i jego towarzysze, umyślnie skryli znalezioną żywność, aby z niej korzystać wyłącznie. W razie nawet działania w dobrej wierze, dowodził głosem pełnym stanowczości: powinni być ukarani za okazany brak wytrwałości i niedbalstwo. Podżegania tego rodzaju nie zostały bez wpływu na wyobrażenia mieszkańców obozu Clay.

Lockwood i uczestnicy wyprawy stali się przedmiotem ogólnej niechęci, wszyscy patrzyli na nich z nienawiścią, a nawet dawały się słyszeć pokątne odgróżki. Nie było innego środka do uśmierzenia niezgody, jak tylko udać się bezzwłocznie po pozostawione zapasy żywności, odszukać takowe, przewieźć do obozu i tym sposobem uspokoić choć w części niecierpliwość wygłodniałych biedaków.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

VON MOLKEN.

Powiastka Adolfa Dygasińskiego, Warszawa, nakładem księgarni A. W. Gruszeckiego, 1886 r.

(Dokończenie.)

Autor maluje swego bohatera w pierwszych rozdziałach bardzo sympatycznie, każe mu być zdolnym, przystojnym, usposabia do niego czytelnika przychylnie, a w dalszym ciągu nic nie czyni nic, aby to pierwsze wrażenie utrzymać i ustalić.

Von Molken idzie bez myśli za głosem krwi, instynktów, popełniając głupstwo po głupstwie, nieudolny, bezwolny, swych zmysłów i zachcianek uniżony sługa. Żadne uczucie nie wstrząsa silniej jego sercem, żadna jaśniejsza myśl nie promienieje nad jego czołem. Nie próbuje on ani razu wydobyć się z upokarzającego położenia, wyrwać się z atmosfery ciężkiej, dusznej, na własnych stanąć nogach, jak się zwykle mówi. Gdy mu każą wrócić do Pałek, zbiera manatki i jedzie do kraju, gdy go wypędzają z dziedzictwa Lutowojskich, umie trafić tylko do Działoszyc, gdy go Hałastrowicz zabiera znów z sobą po pożarze, nie opiera się wcale.

A przecież to młodzieniec zdolny i utalentowany, bywalec, który nie mało widział świata i mógłby sobie poradzić, gdyby tylko chciał. Lecz von Molken nie okazuje ani razu własnej woli i dlatego dziwią jego ostatnie występy przeciw Niemcom, którzy nabyli Pałki, a wybuch obłędu jest wprost niezrozumiałym.

Nie ulega wątpliwości, że bywają między ludźmi charaktery zatarte, a skoro są, należą do repertuaru artysty. W takim jednak razie trzeba rysunek postaci zastosować już w ekspozycyi do dalszej akcyi, trzeba charakter odpowiednio podmalować.

Nie uczynił tego Dygasiński. Majcherek paryzki nie ma w swem obliczu ani jednego rysu, któryby uprzedzał jego późniejszy rozwój. Mógłby być awanturnikiem, nieszczęśliwym artystą, kochankiem, rozbitkiem w szlachetniejszem znaczeniu, lecz nigdy tem, czem go autor zrobił.

I rysunek hrabiny nie wytrzymuje krytyki. Ponura z początku, zimna arystokratka, staje się w drugiej połowie miękką, uczuciową kobietą, a staje się nią nie przez akcyę, lecz przez usta autora.

Zdumiewa także cierpliwość Hałastrowicza, pozwalającego bawić się Molkenowi zbyt długo bezkarnie z jego romansową jejmością. Taki prosty człowiek, jak rządzca Pałek, zniesie grymasy i kaprysy, nawet policzki, wydzielane mu przez żonę, lecz sromowi domowemu będzie umiał stawić czoło.

A hrabia Zizi jest sobie szablonowym typem panicza, „czysto pańską naturą" autorów literalnych, co „to nigdy nie obrodzi jabłkami mądrości". Jak gdyby to tylko między „panami" byli głupi i nieudolni.

Rzecz dziwna, że Adolf Dygasiński, który zna się bardzo dobrze na psychologii teoretycznej i umie ożywić martwą przyrodę, jak nie wielu beletrystów polskich, nie umie odtworzyć człowieka wykształconego, czyli więcej skomplikowanego. Chłopi, nieokrzesane dzieci natury, udają mu się bardzo dobrze, lecz rysunek ludzi cywilizowanych chwieje się od początku do końca. W „Von Molkenie" zasługują na wyróżnienie tylko sceny epizodyczne, jak rozmowa różnych: dzierżawców, ekonomów i t. p. jegomościów, zbliżonych rubasznością swą do chłopa. I tam, gdzie autor staje na gruncie „Nowell", gdzie maluje naturę, jest artystą.

Cały epizod z Hanką i scena z córką Goldglücka po pożarze, przypomina maestryę opisywacza: bocianów, wilków, psów i t. d.

Już w „Nowellach" odzywał się zbyt często uczony.

Wada ta razi w stopniu daleko wyższym w „Von Molkenie".

Dygasiński nie może wytrzymać, aby nie wypowiedzieć przy każdem ogniwie akcyi swych spostrzeżeń naukowych. Tłomaczy on zwyczajem erudyta wszystkie budzące się uczucia, przeplata osnowę mnóstwem uwag osobistych, posługując się na domiar nie artystycznym językiem pisarzów pozytywnych.

Rodząca się miłość wygląda u niego następnie: „Gdy się spotkają dwa ludzkie organizmy, nawzajem mające wartość dla drugiego, stanowi to dobroć i przeto dobrze im jest z sobą". Albo: „Miłość, gdy się obudzi u jednego z dwu jej czynników płciowych, to już działa nieustanie we właściwym sobie kierunku i ostatecznie chodzi o to, ażeby czynnik drugi pobudzony został do oddziaływania" i t. d.

Bardzo to dobre określenie, lecz miejsca nie ma dla nich w powieści. Sztuka posiada swój osobny język, nie mający nic wspólnego z terminologią psychologii pozytywnej.

Gdy dodamy do wymienionych wad zupełny brak ciągłości w opowiadaniu, sztukowanem osobistemi wiązaniami autora, wtedy wypadnie dla „Von Molkena" ostatecznie sąd niekorzystny. Nie może być nawet mowy o postawieniu tej powiastki obok „Nowell" Dygasińskiego.

T. J. Choiński.

NA „OSADY ROLNE".

Odczyty publiczne wygłoszone w sali ratusza

w Warszawie.

IV.

W chwili, w której to sprawozdanie piszemy, serya odczytów na osady rolne już ukończoną została. Oklaski przebrzmiały, a publiczność zawsze żądna rozrywki i wrażeń, śpieszy na „kiermasz", by kupić jaki drobiazg od pięknych kupcowych i rzucić przy tej sposobności grosik na rzecz ubogich i sierot.

Ta nasza publiczność ruchliwa bardzo, ofiarna gdy idzie o otarcie łez niedoli, kapryśną jest jednak i w upodobaniach swoich niestałą; mieliśmy właśnie świeży tego dowód na odczytach tegorocznych: na pierwszych sala była przepełnioną, na ostatnie zaś nie wiele osób już przyszło.

Nie darmo publiczność jest rzeczownikiem rodzaju żeńskiego, lecz sza! dobre nasze czytelniczki mogą to uważać za jakąś złośliwą alluzyę, i wracamy więc do sprawozdania.

P. Maryan Gawalewicz wypowiedział dwie prelekcye o nieśmiertelnym twórcy „Wiesława" Kazimierzu Brodzińskim.

Pięćdziesiąt lat już mija, jak ten cichy, skromny, a tak bardzo do ziemi rodzinnej przywiązany poeta, zamknął oczy na zawsze a przez ten czas o Brodzińskim zapomniano niesłusznie. Wiesława mało kto dziś czyta, a jednak twórca jego ma niezaprzeczone zasługi i znaczenie w dziejach literatury naszej.

P. Gawalewicz, na podstawie dziennika Brodzińskiego, wyjątków z listów i sprawozdań Odyńca, charakteryzował skromną i zacną postać Brodzińskiego, który piękna wiejskiej poezyi szukał wśród swoich, wśród ludu.

W słynnej walce klasyków z romantykami, autor Wiesława gorący przyjmował udział i nie zważając na gromy, jakie padały na niegu z obozu przestarzałych klasyków, krzewił swe przekonania wśród młodzieży, która chętnie jego zasady uznała. Brodziński ukochał szczerze lud wiejski; w jego prostocie znajdował poezyą i umiał ją w dźwięcznych rymach wyśpiewać.

W drugim odczycie zajął się pan Gawalewicz szczegółowym rozbiorem „Wiesława" i charakterystyką pojedyńczych postaci tego poematu. Następnie opowiadał jak Brodziński nadając ogromne znaczenie sielance, pragnął objąć w niej całe społeczeństwo wiejskie i stworzyć epopeję narodową współczesną. Rozpoczął więc poemat p. t. „Dwór w Lipinie", którego akcya, figury, sfera a nawet epoka 1812 roku, są dziwnie analogicznie zbliżone do „Pana Tadeusza". Prelegent powiada, że Mickiewicz pracy swego poprzednika nie znał, nie wiedział o niej wcale a jednak najpiękniejszy twór jego geniuszu, miał przedświt w niedokończonym poemacie Brodzińskiego.

I życie i cała działalność Brodzińskiego były pełnem pasmem pracy i zasług, słusznie więc uczynił p. Gawalewicz, że w półwiekową rocznicę zgonu poety, przypomniał o tych zasługach społeczeństwu.

Dodać należy, że odczyt opracowany był bardzo starannie i że jako studyum literackie ma niezaprzeczoną wartość.

Seryę tegorocznych odczytów zakończył D-r Dobrski, wygłosiwszy rzecz o tem jak zachować zdrowie nerwów.

Trudno o szczęśliwszy wybór przedmiotu. Wiek nasz jest „wiekiem nerwowym" a właściwiej wiekiem chorób i rozstrojenia nerwów. Cywilizacya, która daje nam tyle dobrego, nie wpływa jednak dodatnio na ogólny stan zdrowia ludzkości. Karłowaciejemy, stajemy się coraz słabsi, coraz bardziej drażliwi. Dzieci przeciążone od najmłodszych lat nauką przestają być dziećmi, kobiety nie mające od dzieciństwa możności normalnego rozwinięcia swych sił fizycznych, krępujące się w gorsetach ciasnych gwoli mody tracą zdrowie, mężczyzni w nieustannej pogoni za groszem, w wytężonej pracy umysłowej starzeją się przedwcześnie. Dodajmy do tego coraz bardziej rozpowszechniające się narkotyki, tytuń, alkohol, morfinę, denerwujące powieści, sztuki teatralne obliczone na grube efekta, a roztoczy się przed nami cały szereg przyczyn podkopujących zdrowie społeczeństwu.

Dzisiejszy stan tego zdrowia charakteryzuje wymownie uczony lekarz, d-r Krafft v. Ebing, profesor z Gratzu w dziele zatytułowanem: „Nasz wiek nerwowy". (W przekładzie polskim książka ta wyszła niedawno z druku, nakładem księgarni T. Paprockiego i S-ki w Warszawie). Uczony profesor wymownie kreśli w tem dziele dzisiejszy zdrowotny stan ludzkości; wytyka błędy wychowania, życia, oraz nadużyć wszelkich tak dziś rozpowszechnionych, niestety.

D-r Dobrski mówił o tem jak zachować zdrowie nerwów, mówił zrozumiale, przystępnie. Szkoda wielka, że miał niewiele słuchaczy. Tem gorzej dla nich, gdyż mogli byli dowiedzieć się wielu rzeczy ciekawych i pouczających, jak pielęgnować najdroższy skarb — zdrowie.

Ś. † P. HIERONIM KUCZALSKI.

W zeszłym tygodniu, na cmentarzu Powązkowskim złożone zostały na wieczny spoczynek zwłoki ś. p. Hieronima Kuczalskiego, niegdyś zamożnego obywatela gubernii Podolskiej, a w ostatnich latach stale zamieszkałego w Warszawie.

Zamiłowany w nauce, a szczególniej w zoologii, słuchał wykładów jej na uniwersytecie w Paryżu, później poświęcił się gospodarstwu wiejskiemu, następnie bawił lat parę zdala od stron rodzinnych, a gdy skutkiem różnych nieprzyjaznych okoliczności stracił całe mienie, oddał się pracy literackiej i z tej się prawie wyłącznie do końca swego żywota utrzymywał.

Tłomaczenia jego powieści, były umieszczane w różnych pismach peryodycznych, z czego i Tygodnik korzystał; parę dzieł Flamaryona spolszczonych wyszło w oddzielnych wydaniach: dwie komedye przedstawił teatr warszawski, ale najpożyteczniejszym pracownikiem był w Przyjacielu Dzieci, w którym stale przez lat 15 aż do śmierci dział zoologii pod jego zostawał kierunkiem.

Pogadanki z Ojcem w czasie tym pomieszczane, chciwie przez młodzież czytane, jasno i zajmująco przedstawiające naukowe zdobycze, na długo pozostaną wzorem jak pisać należy dla młodzi z prawdziwym dla niej pożytkiem. Nikt inny z piszących w naukowej treści, dla dziatwy podrastającej, nie dorównał mu dotąd talentem. Rozgłos jaki posiadają inni, sztuczny, z reklamy wypływający; zmarły Kuczalski nie zazdroszcząc tej kupnej sławy, poprzestawał na podzięce swych młodych czytelników, domagających się poznania bliżej autora tak ulubionych przez nich Pogadanek. Życzenie to spełniono, pomieszczeniem portretu w Przyjacielu zmarłego pracownika.

Poświęcając tych słów kilka pamięci ś. p. H. Kuczalskiego, żal serce ściska ze straty towarzysza w pracy tak ważnej dla młodego pokolenia a tak zawistnie, złośliwie i niesprawiedliwie dotąd sądzonej. Nie stracił nic na tem ś. p. H. Kuczalski; za życia już zdobył sobie uznanie między licznem gronem czytelników Przyjaciela Dzieci, a po śmierci ich żal szczery, czem pochlubić się może tylko rzeczywista zasługa.

J. K. Gregorowicz.

Z pod naszej strzechy.

Treść: Numer Kraju, poświęcony pamięci Adama Mickiewicza w trzydziestą rocznicę jego śmierci.

W dniu 26 zeszłego miesiąca Listopada, przypadła rocznica trzydziestoletnia śmierci ukochanego naszego wieszcza Adama Mickiewicza, którą Kraj petersburgski uczcił zbiorem artykułów, poświęconych pamięci wielkiego poety. Czuliśmy potrzebę, powiada Redakcya, takiego skupienia się przy jego imieniu, takiego oderwania się na chwilę od powszedniej a ciężkiej pracy dziennikarskiej.

Myśl piękna i starannie dokonaną została, przyjrzyjmy się jej bliżej, przynajmniej artykułom więcej interesującym, bo na objęcie całości miejsca nam nie starczy.

W pierwszym zaraz artykule, p. Spasowicz broni poetę od zarzutu przejęcia się zbytecznego Byronem, robionego mu przez niektórych mędrków, pragnących sprzecznością zdania z ogólnym nastrojem społecznym, zwrócić na siebie powszechną uwagę.

Byron był romantykiem: takim jest każdy prawdziwy poeta i takim był Mickiewicz; cóż więc dziwnego, że w szamotaniu się ducha, w tęsknocie za czemś nigdy nieokreślonem, w niechęci w zwątpieniu, spotykali się z sobą czasami wydając na lutni poezyi dźwięki zbliżone do siebie?

Lenartowicz wypowiedziawszy swe uwielbienie dla potęgi geniuszu Mickiewicza, w zakończeniu powiada:

„W rozmowie z Adamem Mickiewiczem, przypominam sobie, żem go zagadnął o Hejnego: skrzywił się.

— Nie Izrael to — odrzekł — bo to rzecz wielka, to żyd, przed każdą pięknością klęka, w sztuce, w życiu, w idei, podaje jej berło swoje z trzciny a potem policzkuje krzycząc: witaj królu żydowski! Ale znajdą się krytycy, zobaczysz, którzy to nazwą postępem, nowością, odpowiadającą dedukcyom z nauk. At! głupstwo wieku! Już dziś biją na romantyzm, mniemając że zabiją miłość, zabiwszy ją zabiją egzystencyą, czyli, że wierzgają przeciw ościeniowi i to uważaj kto, ci pierwsi co o Kościele prawią.

Jakże ta wróżba prędko się sprawdziła!

Karol Brzozowski w wielce ciekawych notatkach dotyczących poety, robi wzmiankę, że pierwszy raz spotkał się z Mickiewiczem w Paryżu, w roku 1853 a więc na lat dwa przed śmiercią, na święconem wielkanocnem u księdza Terleckiego. Piękna twarz arcymistrza, powiada, na której tak widomie duch wycisnął pieczęć geniuszu, jaśniała czerstwością i zdrowiem.

Oczy moje nie mogły się oderwać od tego olbrzyma poetów, którego ruch każdy miał w sobie coś z królewskiego majestatu, a tem wydatniejszego, że pełnego prostoty... Jakże daleki byłem przypuścić, że tę rękę, której przed chwilą czułem gorące uściśnienie, nie za kilka dziesiątków lat, ale za dwa niespełna, oblany łzami będę całował skostniałą, lodowatą, trzymającą krzyżyk drewniany.

I stało to się w czasie pobytu piszącego w Konstantynopolu. Mickiewicz zajmował obszerną izbę w klasztorze na Galacie, gdzie odosobnił się zupełnie, a jeżeli wychodził, to samotny długie odbywał przechadzki, zwykle w okolicy koszar artyleryi, za któremi są cmentarze tureckie ze wspaniałemi cyprysami.

Tu spotykał się z nim czasami a ostatni raz w dniu 25 Listopada 1855 r.

W parę dni później, pisze dalej p. Brzozowski, dnia 27 Listopada, bardzo rano wbiegł do mnie Józef Accord i zawołał: klęska, straszna klęska! Mickiewicz umarł! i ze łkaniem jakby zeń wydzierała się dusza, rzucił się na krzesło. Szybko się ubrałem i przerażony z przyjacielem pobiegłem na Jeniszery...

Pomiędzy gromnicami na drzwiach służących za katafalk, leżało ciało wielkiego wieszcza. Chwilkę, jak błysk krótką, widziały oczy moje spokojną, piękną twarz jego, bo łzy zalały, zatopiły święty dla mnie obraz. Padłem na kolana, modliłem się nie mogąc ust oderwać od lodowatej ręki króla wieszczów. Naprzeciwko mnie, z drugiej strony klęczał i modlił się Duchiński, takim jak i ja bólem przejęty i mój towarzysz Józef Accord.

W artykule T. T. Jeża, mieści się opis pogrzebu szczegółowo skreślony.

„O godzinie 10 rano, dnia 30 Grudnia 1855 roku, powiada Jeż, przed domem w którym ciało wieszcza leżało, zgromadzili się wszyscy przebywający w Konstantynopolu rodacy. Zebrało się nas sporo cywilnych i wojskowych, ludzi kilkuset. Ze Skutary nadciągnął oddział piechoty pod bronią, z oznakami żałoby na karabinach, z bębnami krepą osłoniętemi. Wązka a kręta ulica choć zapchaną była, wydawało się jednak, że tylko my sami odprowadzamy pochodem pożegnalnym zwłoki swego poety.

Czekaliśmy na karawan, nadciągnął niebawem i przed drzwiami zatrzymał się. Wyniesiono wielką trumnę okrytą całunem, eskorta wojskowa uszykowała się we dwa szeregi po obu stronach karawanu, bęben się głucho odezwał, wóz ruszył i zaraz na przodzie przed orszakiem księży słyszeć się dały ponure tony marsza pogrzebowego, granego przez orkiestrę kolonii włoskiej, przysłanej z własnego popędu dla złożenia hołdu i oddania ostatniej posługi zmarłemu.

Dzień był posępny, mglisty, mgła niekiedy zmieniała się w drobniutki deszczyk, który mżył i moczył. Ulice zalegało błoto. W ścisku nie można się było parasolami osłaniać. Depcąc błoto i moknąc posuwaliśmy się powoli za wozem, który krok za krokiem ulicami wązkiemi wydobywał się z niziny jeniszerskiej pod górę perotską, i kiedy na górę wyciągnął odsłonił się oczom naszym widok, o ile niespodziany o tyle rzewny i serce przejmujący. Wydawało się nam przed chwilą, że sami tylko prowadzimy kondukt pogrzebowy, a tymczasem ujrzeliśmy niby rzeką płynące tłumy ludzi, okrytych czarnemi turbanami. Okiem ich ogarnąć nie można było: czoło tej kolumny nas dotykało, koniec gubił się gdzieś w dali niedojrzanej. Ludzie szli w milczeniu, w skupieniu ducha, znamionującem udział w przejmującym nas smutku. Niespodziankę tę sprawili nam Bulgarzy, czcząc w zmarłym geniusz poezyi słowiańskiej. Widziałem także: Serbów, Dalmatów, Czarnogórców, Albańczyków, Greków, Włochów; Bulgarzy zeszli się najliczniej, z Turków nie widziałem ani jednego.

Na ulicy Pera, nieopodal od gmachu ambasady rossyjskiej, znajduje się kościół katolicki. Tu się karawan zatrzymał. Wniesiono do środka trumnę, setna tylko część ludzi, mogła się za nią wcisnąć i wysłuchać nabożeństwa żałobnego, reszta w ścieśnionych szeregach w błocie i na wilgoci przed kościołem czekała, aż się ceremonia religijna skończyła i wóz ruszył dalej. Znowuśmy szli za trumną orszakiem ogromnym, przez Perę, Galatę do Tophane, gdzie znajduje się przystań dla kaików i łodzi obsługujących statki do Konstantynopola przychodzące i z niego odchodzące. Trumnę przeniesiono na łódź dużą, zawczasu na ten cel zamówioną, w której umieścił się ksiądz w komeszce z krzyżem w ręku i kilka osób. Widziałem jak odpłynęła i żal mi serce ścisnął wielką boleścią."

Równie interesujące wspomnienia jak Brzozowskiego i Jeża, mieszczą się i w innych artykułach w Kraju pomieszczonych. Z cudzoziemców p. W. R. Morfill dał studyum o Mickiewiczu w literaturze angielskiej: Ludwik Leger o Mickiewiczu w literaturze francuzkiej, Jerzy Brandes Duńczyk rozpisał się o Panu Tadeuszu.

Pan Mahrburg z Petersburga, przedstawił Pogląd na wszechświat w dziełach Mickiewicza. Są

tam spostrzeżenia, myśli i uwagi, niby głębokie i wiele znaczące, ale pokryte tak grubą warstwą mglistej osłony, że chcąc ją odchylić i dojść do rzeczy, głowa aż trzeszczy i z sił opada.

Równie niefortunnie wystąpił Bolesław Pruss z fejletonem o Farysie Mickiewicza. Jest tam wiele dziwnych dowodzeń: że duch ludzki arystonem, czyli pozytywką, kartka poezyi, tylko patronem za pokręceniem korby wygrywającej rozmaite melodye: że materyałem poezyi jest mowa: rzeczownik potęguje fale myśli, przymiotniki i słowa budzą drobniejsze jej fale a balastem są spójniki, wykrzykniki, przysłówki, zaimki i t. d. W ten sens rozpisuje się autor bardzo obszernie, wreszcie oświadcza, że Farys Mickiewicza jest rozhukanym ale imponującym awanturnikiem; Farys zaś Balińskiego bredzącym dziadem.

Że te dwa utwory, tak osądzone zostały przez Prussa, to nic dziwnego; kto łokciem mierzy poezyą, calówką fantazyę, liczbami styl, a Mickiewicza kwadratowym milimetrem, jak się wyraża sprawozdawca Słowa, to o wszystkiem rozpisywać się może, byle nie o poezyi i jej utworach.

Mickiewicz urodził się w Nowogrodku dnia 12 lutego 1799 roku, umierając więc miał lat 56 i dziewięć miesięcy.

ZAWIADOMIENIE.

Pisarz „Gazety Świątecznej" ogłasza konkurs na napisanie powiastki rozśmieszającej (humorystycznej) i zarazem pożytecznej, a zrozumiałej dla czytelników po wsiach i miasteczkach. Powiastka powinna być krótka (od 300 do 800 wierszy druku) i napisana oryginalnie. Za najlepszą taką powiastkę (która przytem nie będzie potrzebowała przeróbek), redakcya przeznacza rubli 100. Wszystkie inne, które zostaną uznane za dobre, będą się drukowały w Gazecie Świątecznej, a autorowie ich otrzymają honoraryą w stosunku do liczby wierszy.

Ostatni termin do nadsyłania powiastek wyznaczono na dzień 1 Marca 1886 roku. Rękopismy należy nadsyłać do księgarni krajowej Konrada Prószyńskiego w Warszawie, zaopatrzywszy je znakiem właściwym, nazwiska zaś autorów powinny się mieścić w zapieczętowanych kopertach, mających tenże sam znak na wierzchu.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Otwarcie kiermaszu**, pomimo że do wykończenia sklepów wiele jeszcze brakowało, przy uroczystych dźwiękach marsza, odbyło się w sobotę, o trzeciej po południu.

Zajmujący się niem stawili się w tym dniu jak najpunktualniej, pełno ekwipaży czekało przed gmachem.

O godzinie szóstej odbył się improwizowany koncert, a następnie sztuki magiczne. Zabawę zakończyły żywe obrazy, ułożone prześlicznie, a dwie orkiestry grały ciągle na przemian.

Światło elektryczne spóźniło się nieco, gdyż dopiero w niedzielę zajaśniało na użytek dobroczynności.

Zniżenie ceny będące zawsze niezmierną zachętą oraz dzień świąteczny, te dwie ważne okoliczności bardzo dodatnio wpłynęły na losy kiermaszu. W niedzielę publiczność zebrała się licznie, a że bawiono się dobrze to pewna.

Urocze cyganki były w oblężeniu, o ile jednak dowcip im sprzyjał, sprawdzić nie mieliśmy sposobności, gdyż nie udało nam się przebić przez tłumy i o wróżbę poprosić. Zapewniano nas, że szczególniej jedna wróżyła jak *anioł*. Zachwyt jednak z jakim to wypowiedziano każe przypuszczać, że sąd jest stronnym potrosze.

Ale gdzie tu w naszych czasach szukać bezstronności!

W następnych dniach ścisk był ogromny, a szczególniej w niedzielę tumult tak był wielki, że bardzo wiele osób mimo nabytych biletów, dostać się do wnętrza cyrku nie mogła.

*** **Smutny objaw.** Z interesującego sprawozdania komitetu osad rolnych, dowiadujemy się, że przez czas swego istnienia (od 1876 r.) zakład studzieniecki wydarł już występkowi a powrócił społeczeństwu 189 poprawionych przestępców.

Cyfra to arcywymowna, o 189 mamy mniej zbrodniarzy.

Obecnie, chociaż rok ubiegły do pomyślniejszych zaliczyć można, gdyż pomimo znacznych wydatków na odnowienie starych budynków i dokończenie nowych, pozostało remanentu w przewyższe 3,623 rs., stan instytucyi wcale kwitnącym nie jest.

Kandydatów do zakładu trafia się, znacznie więcej niżby ich można utrzymać, ta okoliczność jest już dostatecznym dowodem potrzeby rozszerzenia zakresu działalności.

Cóż jednak począć w obec smutnego faktu, jakim jest w naszem społeczeństwie brak wytrwałości, lekceważenie dobrowolnych zobowiązań, które raz przyjęte, święcie dotrzymane być winny.

Uniesieni zapałem, możni i mniej możni w epoce powstawania instytucyi, spieszyli z datkami; liczba członków rosła z zadziwiającą szybkością, wszyscy składali deklaracye na stałą opłatę składek.

A dziś?

Zapał ostygł, cyfry pozostały. Otóż te cyfry mówią bardzo wiele, a mianowicie: że zaległości w składkach wzrastające z każdym rokiem, wynoszą do tej pory 31,839 rs. Poważna suma!

Podajemy te szczegóły dla wiadomości pań naszych, których małżonkowie należą do protektorów tej sympatycznej instytucyi, w tem przekonaniu, że do zacnych serc kobiecych nie kołaczemy napróżno.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Zwolennik Gambrynusa.** Zarząd frankfurckiego zwierzyńca znalazł się w kłopocie. Przywieziony niedawno z Monachium niedźwiedź, częstem mruczeniem i niesfornością dawał do zrozumienia, że mu nowa siedziba do gustu nie przypadła.

Trudno było się domyślić, co jest przyczyną niezadowolenia świeżego lokatora klatki, dogodnej, dużej i posiadającej wszelkie warunki odpowiednie do osoby *misia*.

Nie mogąc z nim jednak poradzić, zasięgnięto wiadomości i dowiedziano się, że groźny mieszkaniec lasów, jak pierwszy lepszy niemiecki filister, ma zwyczaj wypijać codziennie trzy litry piwa.

Zarząd zwierzyńca polecił bezwłocznie takąż samą ilość bawara dawać zwierzęciu i niezadowolenie zniknęło.

*** **Mleczny syn.** Mamka księcia bulgarskiego, Aleksandra, który tak dzielnie spisał się w wojnie z Serbami, była włoszką i obecnie zamężna mieszka w Feltre pod Wenecyą.

Jakkolwiek już 48-letnia i do tego włoszka (wiadomo przecież, że uroda kobiet jest tam bardzo krótkotrwałą), Piccolata słynie jeszcze z wdzięków i nosi przydomek *la bella*, a dzięki wspaniałomyślności księcia, żyje w dostatku.

Po pierwszych zwycięztwach odniesionych przez ks. Aleksandra, Piccolata poleciła jednemu z dziennikarzy w Feltre, aby wysłał w jej imieniu powinszowanie do jej mlecznego syna i pod listem, zamiast podpisu własnoręcznie położyła krzyż.

Po kilku dniach wierna mamka odebrała list od księcia wraz z fotografią, zaopatrzoną następującym podpisem:

Alla mia cara belia il suo figliaccio, Alessandro (Ukochanej mamce, jej syn mleczny, Aleksander.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Kostyum na ślizgawkę, odrobiony z sukna, obłożony futrem bobrowem. Beret i mufka bobrowa.

Ubranie spacerowe z płaszczykiem z jedwabnego ottomanu z obłożeniem skunksowem. Suknia z pluszu w paski; kapelusz aksamitny z rondkiem futrzanem, ubrany piórami.

Ubranie spacerowe dla małego chłopczyka. Paletocik z materyału *Double*, ubrany pluszem wytłaczanym w paski i sutaszem. Czapeczka sukienna.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami, rycina kolorowa, katalog A. J. Wiśniakowskiego na Warszawę, oraz prospekt Tygodnika Illustrowanego na pocztę.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Декабря 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).



N. 1. Kapotka dla dziewczynki lat 8—10.

N. 2. Czapeczka dla chłopczyka lat 6—8.



N. 3. Berecik dla dziewczynki lat 10—12.

N. 4. Toczek dla panienki lat 12—15. Patrz ryc. 11.

Opis do N-ru 51.

(*Dokończenie.*)

N. 4 i 11. Toczek dla panienki lat 12—15.

Ryc. 11 przedstawia wymiar połowy denka do toczka ryc. 4, z bronzowego pluszu, podłożonego sztywnym muślinem i ponsową atłasową podszewką, zszytą z pluszem krytym szwem. Przedni i tylny brzeg rondka złożony jest podług znaków w kontrafałdę 4 cent. szeroką i w dwie płaskie fałdy z boków. Z tyłu rogi spiczaste 7 cent. długie krzyżują się z sobą i łączą szwem. Kokarda ułożona z wstążki atłasowej z brzeżkiem, 6 cent. szerokiej, 180 długiej.



N. 5. Kapotka z rondkiem futrzanem.

N. 5. Kapotka z rondkiem futrzanem.

Wysoka wązka główka pokryta jest gładko aksamitem przy tylnym brzegu założonym w nagłówek 4 c. szeroki. Rondko dyademowe 6 c. w środku szerokie, pokryte jest futrem bobrowem. Przybranie stanowi upięcie z pukli aksamitnych, ułożone podług ryc. 5, opierające się na pasku aksamitnym 2 c. szerokim, założonym w środku w ząb, i dwa krótkie strusie pióra. Do wiązania służą końce atłasowe 6 cent. szerokie.

N. 6. Kapotka pokryta marszczonym aksamitem. Patrz ryc. 21 w N. 50.

Elegancka kapotka z ciemno piaskowego aksamitu, przybrana oryginalnym plumażem układanym z piórek $1\frac{1}{2}$ cent. długich, tudzież rozetą z piór strusich z dodaniem rajskich i zielonych mieniących się skrzydełek. Pokrycie główki zmarszczone jest u góry w bufkę w środku 4, z boków $1\frac{1}{2}$ c. szeroką, u dołu w bufkę 2 c. szeroką, środkiem zaś wzdłuż ułożone są drobne fałdki. Rondko pokryte skośnym aksamitem przedzielonym rzędami plumażu i z brzegu oszytym liczy w środku 5, z boków 2 cent. szerokości. Do twarzy dany wolant podwójnie złożony z aksamitu, nie oszyty piórkami, ułożony w fałdy podług ryc. 21 w N. 50. Do wiązania słu-



Ubrania wizytowe.

N. 7. Suknia ze stanikiem z ranwersami. Patrz ryc. 19, 34 i 49.

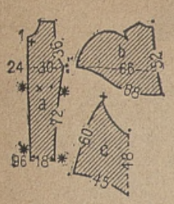
N. 8. Suknia z gorsecikowym stanikiem. Patrz ryc. 18.



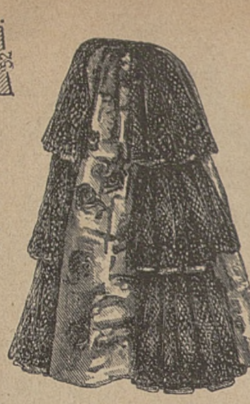
N. 6 Kapotka z marszczonego aksamitu. Patrz ryc. 21 w N. 50.



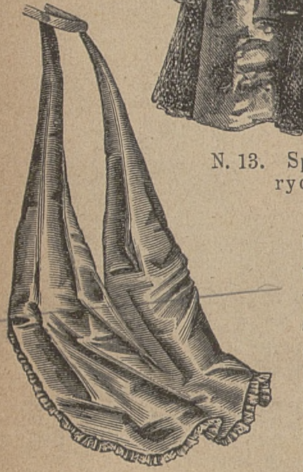
N. 9. Serwetka podłużna z wyszyciem krzyżykowem i wszywką.



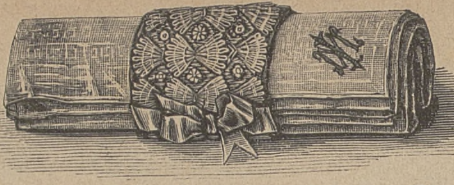
N. 10. Wymiar kroju pelerynki ryc. 52.



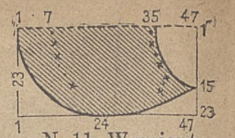
N. 13. Spódniczka do ryc. 1—2.



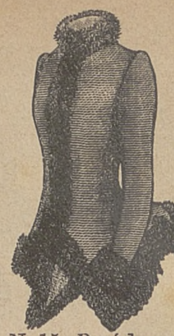
N. 14. Tren przypinany do ryc. 1—2.



N. 12. Kółko do serwety. Patrz ryc. 22.



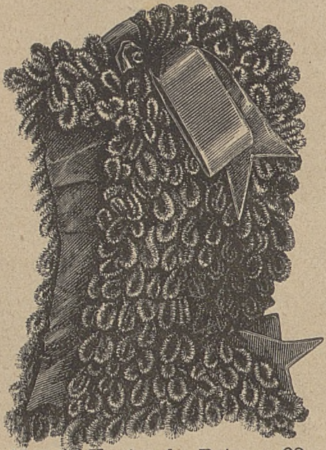
N. 11. Wymiar toczka ryc. 4.



N. 15. Przód paletocika ryc. 51.



N. 16. Plecy do ryc. 16—17. w N. 50.



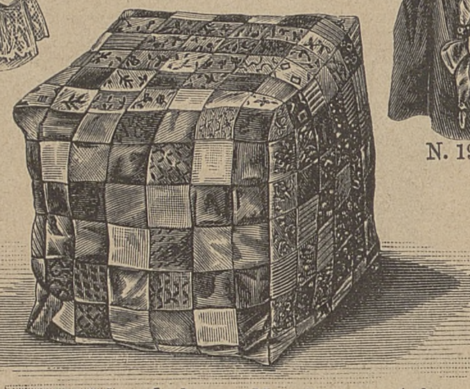
N. 17. Kapturek. Patrz r. 28.



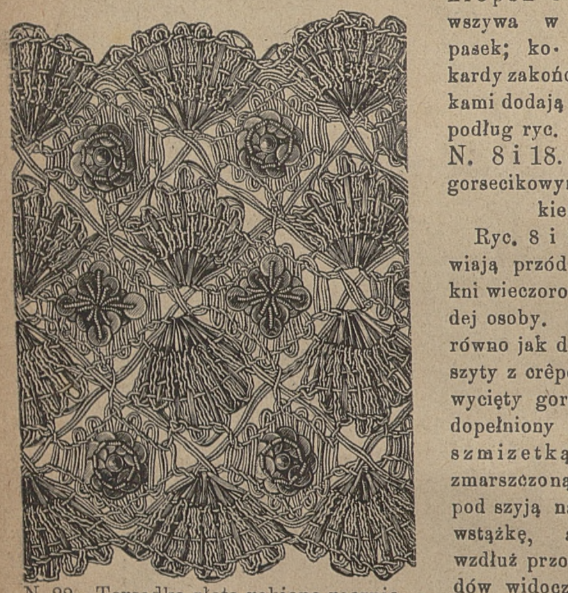
N. 18. Plecy do ryc. 8.



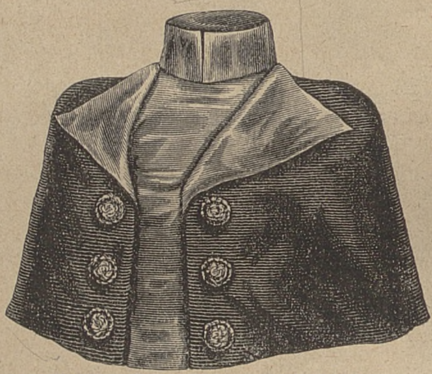
N. 19. Przód do ryc. 7.



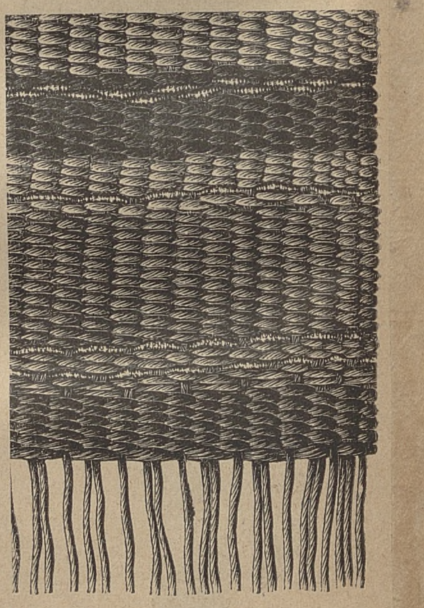
N. 20. Wałek pod głowę. Mozajka z resztek materyi.



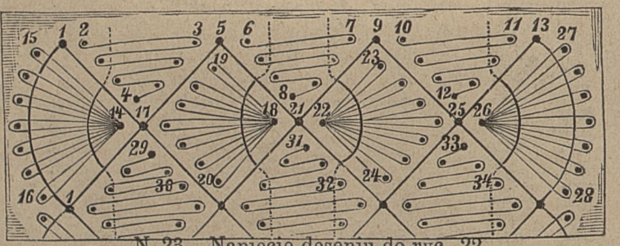
N. 22. Torsadka złota robiona ręcznie na klockach. Patrz ryc. 12 i 23.



N. 21. Pelerynka z wykładami.



N. 24. Robota tkacka ręczna na szalik ryc. 20 w N. 50.



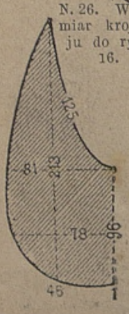
N. 23. Napięcie deseniu do ryc. 22.



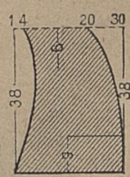
N. 25. Szlak do koszyczka ryc. 23 w N. 50.



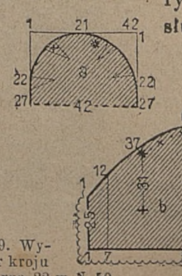
N. 26. Wymiar kroju do ryc. 16.



N. 27. Wymiar kroju do ryc. 14.



N, 28. Wymiar kroju do ryc. 17.



N. 29. Wymiar kroju do ryc. 22 w N. 50.

ży wstążka atłasowa 6 c. szeroka z brzegiem w pikoty.

N. 7, 19, 34 i 49. Suknia ze stanikiem z ranwersem.

Ryc. 7 przedstawia suknię z blado niebieskiej faille, zaś ryc. 19 i 49 suknię z bronzowego jedwabnego repsu, ze stanikiem pluszowym tegoż koloru; ranwers przy pierwszej jest z blado niebieskiego aksamitu, przy drugiej z blado żółtej materyi. Jak to widać na ryc. 49, przody stanika wywinięte w szerokie ranwersy, odkrywają kamizelkę, zapiętą na kryte haftki, w połowie przyciśniętą żabotem koronkowym. Rękawy u ręki podszyte atłasem i wywinięte 5 cent. szeroko, mają mankiety podszyte od środka. U dołu przodów naszyty pasek z pasmanteryi. Fałdzista draperya przednia układa się podług ryc. 19; wymiar brytów bocznych i tylnych daliśmy na r. 34; wszystkie cztery zszywają się z sobą w całej długości, poczem bryty *a*, *b* i *d*, krajane dłużej nad 112 cent., są założone w fałdy podług znaków i zszyte z brytem *c*, który ma górny róg, złożony dwukropkiem do dwukropka i puszczony wolno. Górny brzeg fałduje się podług krzyżyków i kropek i wszywa w pasek; kokardy zakończone grelotkami dodają się z boków podług ryc. 19.

N. 8 i 18. Suknia z gorsecikowym stanikiem.

Ryc. 8 i 18 przedstawiają przód i plecy sukni wieczorowej dla młodej osoby. Stanik zarówno jak draperya uszyty z crêpe de chine, wycięty gorsecikowo i dopełniony koronkową szmizetką, zmarszczoną pod szyją na wstążkę, a wzdłuż przodów widoczną pod sznurowaniem stanika. Ramiączka 5 cent. szerokie przysłonięte są kokardami z wstążki 7 cent. szerokiej. Półdługie rękawy uszyte z kawałka tiulu koronkowego, 46 c. długiego, 60 szerokiego, zmarszczone u ręki w wązki pasek, ozdobiony kokardą. Przedni bryt sukni dany z materyi przykryty draperyą z crêpe de chine, zaś tylny bryt zakończony jest wolantem 60 c. szerokim. Przy draperyi przedniej krepowej dany z boku bryt koronkowy 100 cent. długi, 210 szeroki, u góry zmarszczony, u dołu oszyty koronką 12 c. szeroką i podług ryc. 8 podpięty w górę kokardą z wstążki. Upięcie z crêpe de chine, zajmujące prawy bok sukni, wymaga bryta 140 cént. długiego, 150 szerokiego, u dołu oszytego koronką, który brzegi boczne i brzeg górny ma razem sfałdowane do 45 cent. i przyszyte do paska. Drugi równie szeroki i podobnie ufałdowany bryt upięty z tyłu; w miejscu gdzie dwa te bryty krzyżują się z sobą, dana suta kokarda z wstążki.

N. 12 i 22-23. Kółko do serwetki stołowej.

Podstawę stanowi szerokie kółko z tektury, pokryte wewnątrz atłasem, zwierzchu aksamitem kolorowym, stanowiącym podłożenie pod torsadkę ze złotych nici; na zszyciu brzegów torsadki dana kokarda z wstążki atłasowej 2 cent. szerokiej. Torsadka robiona ręcznie na klockach i naszyta złotemi blaszkami przedstawiona jest w naturalnej wielkości na ryc. 22. Odrobiona z gładkich i kręconych złotych nici i z sychu złotego, liczy w deseniu 59 klocków; jak to widać na rycinie, nitka gładka złota bierze się podwójnie i nawija na 19 klocków, użytych tam, gdzie nitka tworzy figury deseniu lub krzyżuje się w kratę, dalej na 4 klocki nawija się podwójną nitkę kręconą, na 4 sych złoty a na 32 klocki pojedyńczą nitkę złotą. Napięcie deseniu dajemy na ryc. 23.

N. 15 i 51. Palotocik krótki.

Ryc. 51 przedstawia strojny paletocik do spacerowego ubrania, uszyty z deseniowego aksamitu na lekko podwatowanej podszewce z atłasu zielonawego (chartreuse). Do przybrania służy 10 cent. szeroka szmuklerska riusza z jedwabnej plecionki i rozety z grelotkami. Krój dopasować można z małemi odmianami podług formy do ryc. 2 w N. 47 Tyg. Mód.

N. 17 i 28. Kapturek na głowę. Robota w ramach.

Ciepłe i lekkie okrycie głowy, idąc na koncert lub do teatru, stanowi kapturek wykonany robotą w ramach z ponsowej włóczki angielskiej, użytej na tło pokryte zwierzchu przyrabianemi pentelkami ze szneli. po 3 cent. długiemi. Kapturek wykrawa się z prostego kawałka, podług wymiaru danego na ryc. 28, i marszczy z tyłu na elastykę w odstępie 9 cent. od dołu w miejscu oznaczonem linią prostą. Do zapięcia służą haftki dane pod brodą; kokardy z wstążki atłasowej 4 cent. szerokiej; podszewka z materyi jedwabnej.

Robotę w ramach zastąpić można jakimkolwiek materyałem wełnianym, jedwabnym lub aksamitem.

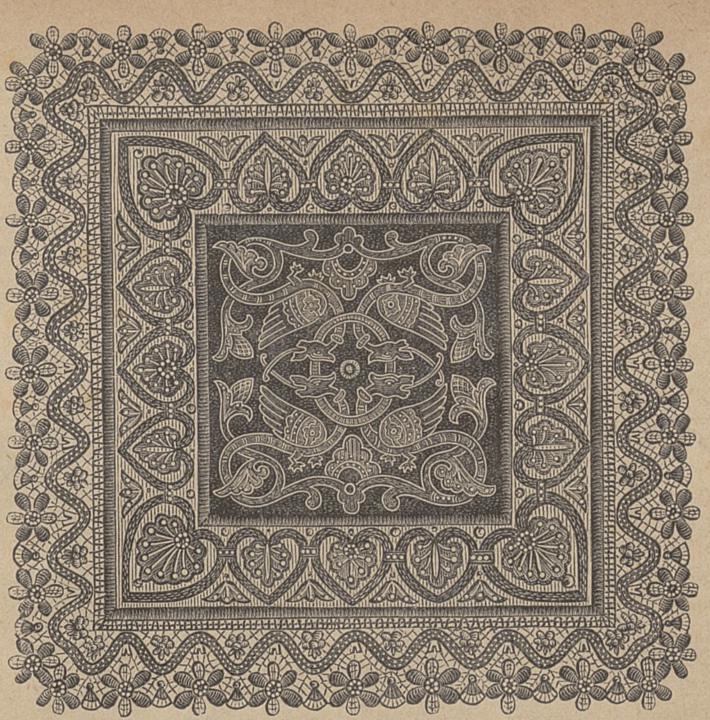
N. 21. Pelerynka z ranwersami.

Odrobiona z ciemnego sukna i jasnej tego samego koloru materyi jedwabnej, może służyć lekko podwatowana jako zarzutka w pokoju, lub stanowić dopełnienie okrycia przy wyjściu na ulicę. Dopasować ją można podług formy do ryc. 2 w N. 40; brzeg



N. 33. Część naszyjnika ryc. 32.

przodów w połowie dolnej są ścięte prosto, w górnej zaś skośnie, odpowiednio do ranwersów pokrytych materyą i przyszytych szwem odwracanym. Wykrój i otwarcie przodów dopełnione jest gładkim plastronem jedwabnym, przypiętym na kryte haftki. Stojący kołnierzyk liczy 9 cent. szerokości. Guziki szmuklerskie.



N. 30. Serwetka z haftem wypukłym. Patrz ryc. 8 w N. 50.



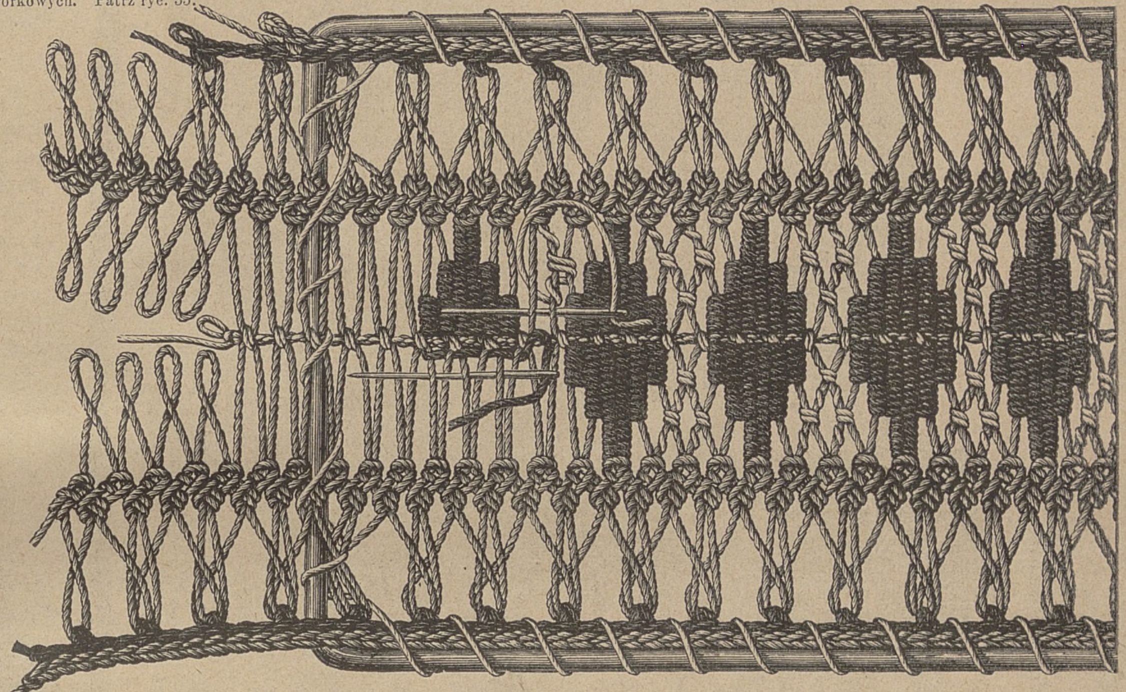
N. 31. Naszyjnik z ołowianych pereł.



N. 32. Naszyjnik z ziarek ogórkowych. Patrz ryc. 33.

N. 30. Serwetka z haftem wypukłym i koronką złotą wyszywaną kolorami. Patrz ryc. 8 w N. 50.

Ryc. 8 w N. 50 przedstawia w naturalnej wielkości część deseniu do pięknej serwetki r. 30, tudzież koronkę złotą otaczającą brzegi. Tło w środkowym kwadracie stanowi niebieski aksamit, w szlaku zaś brzeżnym złoty brokat w grube prążki. Wypukły haft bardzo wysoko podkładany wykonywa się filozelą dzieloną po dwie i trzy nitki i nitką złotą; kontury obwiedzione cienkim złotym sznureczkiem. Efekt roboty stanowi piękny dobór kolorów i perły rozrzucone w deseniu. Zmieniają się one odpowiednio do filozeli i tak: widzimy duże, płasko rznięte bursztyny, jasno niebieskie perełki, złote, szklane i t. p. Po skończeniu haftu serwetka podszywa się sztywnym muślinem i atłasem miedziano czerwonego koloru. Brzegi otacza złota koronka, haftowana kolorową filozelą.



N. 36. Wszywka z torsadki na widełkach, wyszywana kolorowo.

N. 32—33. Naszyjnik z ziarnek ogórkowych.

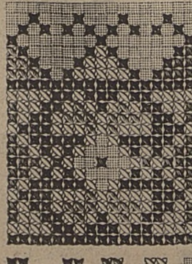
Ryc. 33 przedstawia w naturalnej wielkości część naszyjnika z ziarnek ogórkowych, nawłóczonych na nitkę i łączonych złotemi perełkami. Ziarnka płucze się starannie, wysusza i nawłóczy najpierw rzędy środkowe a następnie ząbki brzeżne, podług ryc. 33. Skończony naszyjnik wiąże się aksamitną kokardą.



N. 38. Malowanie na szkle do ryc. 37.

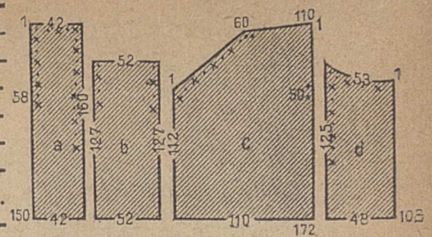
N. 36. Wszywka z torsadki na widełkach.

Najpierw przygotowywa się torsadkę robioną na widełkach 4 cent. szerokich, następnie dwa rzędy łączy się z sobą szydełkiem, dając 1 o. śc. w dwie pentelki i 1 o. pow. Ryc. 36 przedstawia wszywkę z szarej bawełny, wyszywaną bawełną ponsową; brzegi boczne obrobione są raz ponsową (2 o. pow., 1 o. śc. włożone w dwie skrzyżowane pentelki) a drugi raz szarą nitką. Tak przygotowaną torsadkę rozciąga się w ramce z grubego drutu i zdobi wyszyciem ponsowem, ściegiem cerowanym, jaki dokładnie wskazuje próbka roboty. Nitki stanowiące tło między kwadratami, łączą się w kratkę ażurową podwójnemi skośnemi ściegami.



czar. pons. nieb. ziel. żół.

N. 41. Szlaczek krzyżykowy.



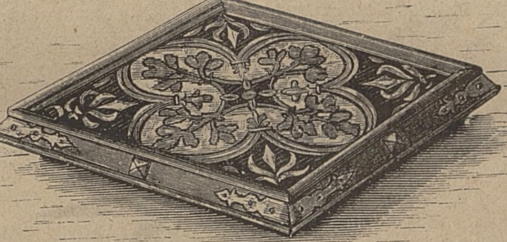
N. 34. Wymiar draperyi do ryc. 7.



N. 35. Kapelusz okrągły filcowy zdobny wstążką.

N. 43—46. Zakładka i bilety z zasuszonemi kwiatami.

Pkraktyka uczy że najlepiej zasuszają się kwiaty ułożone między dwoma arkuszami bibułki i watą, ściśnięte w prasie ręcznej lub pod ciężkiemi książkami; kwiaty powinny być świeże i niezwiędłe a przy układaniu ich trzeba starannie zachować kształt listków i gałązek. Po 24—30 godzinach porusza się kwiaty zapomocą noża i znowu przez 24 godzin ściska się w prasie; po wyjęciu z prasy znowu układają się na bibułce, na 24 godzin wkładają w dużą książkę i po zupełnem wyschnięciu zachowują w tekturze lub pudełku. Niektóre kwiaty dla ożywienia barw trzeba farbować aniliną; można również z pojedyńczych listków układać fantazyjne kwiateczki. Zakładka do książki przedstawiona na ryc. 43 jest z białej wstążki faille 6 cent. szerokiej, 27 cent. długiej, wysiepanej w końcach na 6 cent.



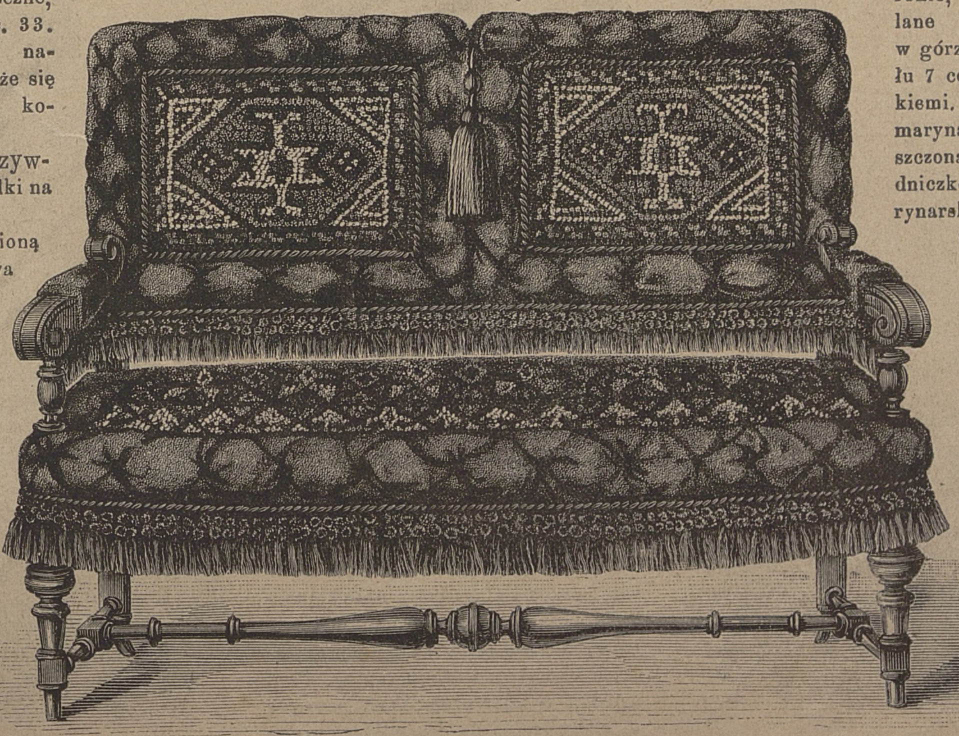
N. 37. Podstawka do położenia kluczyków. Naśladowanie majoliki.

N. 47. Sukienka dla małej dziewczynki.

Spódniczka 24 cent. długa przyszyta jest do spodniego staniczka z przodu 26, z tyłu 28 cent. długiego, ułożona w kontrafałdy 7 cent. szerokie, przedzielane odstępami w górze 3, u dołu 7 cent. szerokiemi. Bluza marynarska opuszczona na spódniczkę ma podłużny wykrój szyi dopełniony marynarskim kołnierzem. Przybranie stanowi sutasz naszyty w gęstych rzędach.



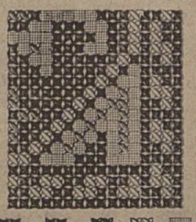
N. 89. Malowanie na szkle do ryc. 37.



N. 40. Kanapka z haftem krzyżowym.

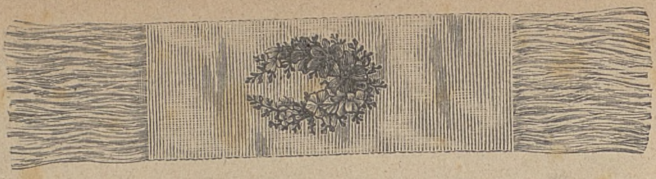
N. 48. Ubranie dla chłopczyka.

Krótkie majteczki przypinają się do stanika spodniego; sukienka z granatowego korciku i białego dyagonalu składa się z plisowanej spódniczki 17 cent. długiej i z kaftanika z długiemi przodami szeroko otwartemi, dopełnionemi bufiastą kamizelką z dyagonalu. Guziczki z konchy perłowej naszyte grupami.



czar. pons. nieb. ziel. żół.

N. 42. Czwarta część kwadratu do ryc. 40.



N. 43. Zakładka z zasuszonemi kwiatami.



N. 47. Ubranie marynarskie dla dziewczynki.



N. 48. Ubranie dla chłopczyka.

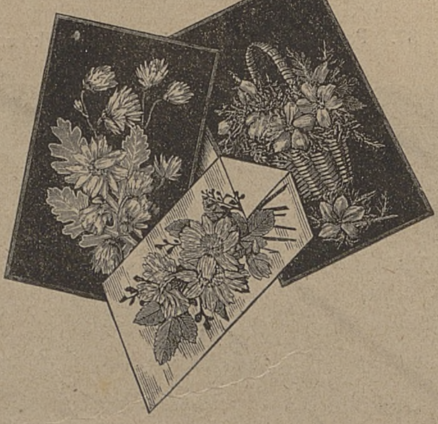


N. 49. Stanik z ranwersami do ryc. 7.

N. 50. Stanik fałdowany.



N. 51. Paletocik krótki. Patrz ryc. 15.



N. 44. Bilety z zasuszonych kwiatów.



N. 52. Pelerynka z kapturkiem. Patrz ryc. 10 i ryc. 11 w N. 50.

N. 50. Suknia z fałdowanym stanikiem.

Ryc. 50 przedstawia stanik marszczony z przodu, na ramionach i na plecach, bardzo korzystny dla osób szczupłych, wzdłuż bawetu na 10 cent. ułożone są drobniutkie fałdki ku ramionom rozsuwające się szeroko. Plastron pluszowy podsunięty pod zwierzchni materyał, z jednej strony jest przyszyty; z drugiej przypina się na haftki. Stojący kołnierz i mankiety pluszowe przewleczone kolorową wstążką.

N. 52 i 10. Pelerynka z kapturkiem. Patrz ryc. 11 w N. 50.

Ryc. 52 i r. 11 w N. 50 przedstawiają przód i plecy pelerynki z kapturkiem, uszytej z pluszu na podszewce jedwabnej lub (r. 52) z imitacyi krymskich baranków i atłasu w pasy. Ryc. 10 daje wymiar kroju; końce przodów są od gwiazdki do gwiazdki podwinięte we dwoje i sfałdowane podług znaków, stanowią jakby mufkę do schowania rąk. Litera *c* daje wymiar połowy kapturka od kropki do krzyżyka wszytego w wykrój szyi, poczem brzeg dolny zszywa się od środka, a brzeg boczny wywija jako brzeg górny. Pasek 5 cent. szeroki z jednej strony przyszywa się do przodów, z drugiej zapina na haftki.



Pl. 630.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.